

moją i mego oddziału. Podjeżdżałem do miasta już wieczorem. Kasztanka już na moście na Dunajcu, podziurawionym przez wybuchy, kręciła głową, uważając, że jest zanadto niebezpieczny dla jej szanownego istnienia. Za mostem wjazd do ciemnej ulicy z nieprzyjemnie brzmiącym pod podkowami brukiem powiększył jej przykrości. Z trwogą nastawiła już uszy. Lecz wreszcie rynek. Jasno oświetlony, czarny od tłumu. Gdym się na nim na kasztance ukazał, rozległ się krzyk całego tłumu i padły paciorki z kwiatów. Tego już było stanowczo za wiele dla mojej wiejskiej klaczy, zwinęła się pode mną i chciała uciekać od owacji. Niemało mnie kosztowało, by ją po prostu wepchnąć na rynek. Szła przez szpaler ludzki ostrożnie, nieledwie zatrzymując się co parę chwil. Czułem pod sobą, jak nieszczęśliwe stworzenie szukało ucieczki. Musiałem kasztankę ciągle pchać naprzód, tak, iż po wyjeździe z rynku poznałem i ją, że owacja coś kosztuje. Czułem doskonale, że mam nogi, tak miałem je zmęczone.

Nowy Sącz przyjął nas nadzwyczajnie serdecznie. A te rozkosze «wielkomiejskie»! Elektryczne światło, kawiarnie, wanna, fryzjer. Zgoliłem sobie tam brodę, którą utrzymać w porządku na wojnie jest nadzwyczaj trudno. Bawili mnie potem moi żołnierze, którzy przy spotkaniach na ulicy udawali, że mnie nie poznają. Oddawali mi honory z rozmyslnym ociąganiem się, by mieć okazję do przeproszenia, że wskutek zgolenia brody nie mogli mnie jakoby od razu poznać. Oficerowie mówili mi, że wśród żołnierzy postanowiono przy pierwszym marszu wołać za mną: «Oddaj brodę!» Na szczęście, nie przyszło do tego.

Do Nowego Sącza, już po moim wyjeździe stamtąd, ściągnęły i oddziały z Nowego Targu. Mój plan obrony doliny Nowotarskiej, jako ostatniej piędzi ziemi polskiej, chwała Bogu, nie doszedł do skutku i podhalańska moja, wymarzona w ciągu listopada, krwawa epopea ograniczyła się wstępem do niej w bojach Limanowa-Marcinkowice.

## NOWY KORCZYN—OPATOWIEC

Pierwsze boje, pierwsze zetknięcia z wojną! Nie wiem, jak dla kogo, ale dla mnie było w tym tak dużo rozrzewniającej poezji, jak w młodzieńczej pierwszej miłości, w pierwszych pocałunkach. Lecz tych najwcześniejszych moich zetknięć się z wojną nie poruszę. Na razie to zanadto mnie boli.

Było tam zbyt dużo momentów niewojennych, a zarazem zbyt dużo zetknięć z brutalną prawdą niemocy i jakiejś niewolniczości własnego społeczeństwa, które uparcie wołało odepchnąć od siebie wszelką myśl o samodzielnej, sobie tylko podwładnej pracy, i szukało zawsze starannie uległości i posłuszeństwa obcym.

Pewnych jednak polityczno-wojskowych momentów dotknąć muszę, bo bez nich niezrozumiałymi byłyby moje decyzje.

Brałem w nich pod uwagę specjalne położenie strzelca wśród innych wojsk, położenie jego jako żołnierza, bez względu na jakiegokolwiek polityczne motywy. Z góry przypuścić należało, że stosunek do nas, jako do formacji ochotniczej o charakterze milicyjnym, będzie polegał ze strony wojsk austriackich i niemieckich, armij stałych o wiekowych tradycjach, na głębokim niezauwaniu do naszej wartości żołnierskiej. Do tego byłem przygotowany i, znając dobrze wygórowaną ambicję strzelców, bałem się ogromnie, bym pierwszymi niepowodzeniami tę ich ambicję nie tylko nie uraził ale gorzej jeszcze — nie zabił w nich wiary w siebie, jako żołnierzy. A niepowodzenia można mieć było łatwo przy ogromnie niskim stanie naszego technicznego uzbrojenia i wyekwipowania. Przecie byliśmy zrazu uzbrojeni w przestarzałe, nierepetierowe karabiny Werndla, poza tym nie mieliśmy karabinów maszynowych i artylerii, nie posiadaliśmy prawie telefonów, kuchni polowych. Brakowało ładownic i większość żołnierzy w kieszeniach nosiła ładunki, które łatwo można było zgubić. Ten brak nabojów mógł w każdej krytycznej chwili zmieniać karabin w jakąś grubą i niezręczną maczugę. Wreszcie wewnętrznie, nieułożone stosunki, tak, jak w każdej nowej formacji, sprawiały, że każdy z poszczególnych dowódców zużywać musiał mnóstwo czasu na uporządkowanie drobiazgów życiowych, na ułożenie jakiegoś wewnętrznego «modus vivendi» pomiędzy ludźmi. Sam musiałem ciągle załatwiać mnóstwo codziennych spraw, wynikających z tarcia całej maszyny wojskowej, spraw o charakterze osobistym. Kwestie starszeństwa pomiędzy oficerami, kwestie rozgraniczeń kompetencji były tym piekłem po prostu, w którym żyłem na początku wojny. Musiałem bronić wojska nie tylko od zewnętrznych upokorzeń, ale i od wewnętrznego upokorzenia, które musiałyby się zrodzić z poczucia swej niższości w stosunku do otoczenia, z niezdolności wykonania wziętych na siebie zadań.

Odczuwałem dokładnie, że u wszystkich żołnierzy w głębi duszy jest bojaźń przed szalonym przedsięwzięciem, przed

egzaminem, który jako żołnierze złożyć będziemy musieli, zarówno przed otoczeniem, jak i przed samym sobą.

Na szczęście w początkach nie mieliśmy jeszcze tej choroby, która w Legionach rozwieliżniła się dopiero później: protekcjonizmu dla «dekowników» wszelkiego rodzaju. Ten pasożyt przyszedł potem, gdy sztucznie skonstruowana polityczna Komenda Legionów poczęła szukać oparcia w wojsku, płodząc oficerów i rozdając awanse swoim stronnikom bez żadnego względu na ich wartość żołnierską. Nie mówiąc już o całej «politycznej» (czytaj policyjnej) służbie tyłowej p. Sikorskiego. Trzeba przyznać, że za łaskawym przyzwoleniem szanownej Komendy Legionów rozmaici dziennikarze, malarze, różnego rodzaju politycy, znajdowali w wojsku ciepły kącik, no i oficerskie gwiazdki. Przecie jest publiczną tajemnicą, że gdy Legiony stały się modnymi, były one zarazem sposobem «dekowania się» od służby w wojsku austriackim, a gdy się służyło politycznie Komendzie Legionów, to za jej protekcją można się było ochronić i od służby wojskowej w ogóle. Zjawisko to nazywam brutalnie «zawszeniem» wojska. Każdy żołnierz wszędzie jest narażony na to, że do jego sławy, a kosztem jego niedoli przyczepia się pasożyt «tyłowy». Powiedziałbym, że miarą «moralności» danego narodu i jego wojska jest ilość i jakość służby tyłów. Im mniej tych tyłowców i im mniej wiodą życie pasożytów, tym naród i wojsko jest zdrowsze, tym «morale» jest wyższe. Otóż trzeba przyznać, że Komenda Legionów wraz z N. K. N-em zawsze wojsko polskie nadzwyczaj skutecznie. Przez pewien czas obawiałem się, że ilość oficerów «tyłowych» i politycznych obrońców Komendy Legionów przewyższy liczbę żołnierzy frontowych. Jest to chyba ideał pasożytniczy. Z tym zjawiskiem jednak, powtarzam, mieliśmy do czynienia dopiero później.

Gdym rozważał nasz stan uzbrojenia, gdym rozmyślał o egzaminie, który mieliśmy złożyć — a egzaminem dla żołnierzy zawsze jest bój — mówiłem sobie stale: — Ostrożnie, ostrożnie, jeszcze raz ostrożnie z ogniem. Nie bądź dzieckiem i nie puszczaj cugli swojej fantazji! — Lecz wszystko, co było we mnie charakterem, wolą, dumą i ambicją, burzyło się zawsze przeciwko takim kunktatorskim, «rozsadnym» myślom. Zresztą, zdaniem moim, nie było wyjścia. Iść na egzamin bojowy było, nie przeczę, przedsięwzięciem nadzwyczaj niebezpiecznym, ale tylko ryzykując to, ryzykując dużo, można było wygrać to, co przede wszystkim wygrać należało: zaufanie do siebie i szacunek żołnierski u otoczenia. Tak też i z początku postępowałem: stawiałem zawsze bardzo dużo na kartę. Marsz

na Kielce, zdaniem moim, należał do najśmielszych akcyj wojennych. Do takich śmiałych prób zdania egzaminu należą również kilkudniowe boje pod Nowym Korczynem i Opatowcem, boje, pamiętne pewno dla wszystkich żołnierzy, którzy byli pod moją komendą. Po innych, ciężkich bitwach, któreśmy w ciągu wojny przebyli, już jako starzy, zycinieli żołnierze, wydają się boje nasze nad Wisłą fraszką i zabawką dzieciną. Śmiem jednak twierdzić, że wydają mi się one, gdy o nich wspominam, śmielszymi, niż inne, bo były pierwszymi, toczonymi w warunkach technicznie ciężkich, a moralnie trudnych, zwłaszcza wobec ówczesnej przegranej wojsk austriackich.

W Kielcach odbywała się ciężka, trudna praca organizacyjna. Strzelec ze Związków i Drużyn Strzeleckich, zatem na trzy czwarte cywil, przerabiał się na żołnierza. Obok tego szła praca zagospodarowania oddziału. Więc zakładaliśmy warsztaty wszelkiego rodzaju, formowaliśmy tabory i. t. d. Poza tym dokonywałem w Kielcach, jako pierwszym większym mieście Królestwa, próby politycznego związania ludności z nami. Kielce, jednym słowem, były bazą strzelecką, skoro Kraków, niestety, nią w owe czasy prawie nie był. Stamtąd przyszli ludzie, no i pierwsza licha broń, reszta musiała być stworzona własnymi siłami.

Wobec tego nic dziwnego, że Kielce miały dla mnie pierwszorzędne znaczenie wojenne, tak, jak każda podstawa wojny dla wojska. A tym czasem już po tygodniu spokojnego naszego pobytu w Kielcach miasto stało się pełnym dziwnych pogłosków, alarmujących wszystko, co żyło. Opowiadano więc o dziesiątkach tysięcy jazdy rosyjskiej, która idzie z Warszawy na Kielce i Kraków. Wymieniano nawet gen. Miszczenkę, jako wodza masy kawalerii, wyrzuconej przez Rosjan na lewy brzeg Wisły, z kierunkiem marszu na Kraków, no i, naturalnie, z rozkazem zniszczenia przede wszystkim Kielc, a w Kielcach specjalnie mnie i moich strzelców. Te alarmujące pogłoski niepokoiły nie tylko nas, lecz i niewielką załogę austriacką i niemiecką, która stała w Kielcach. Wieści te dochodziły do Krakowa, skąd zarówno władze wojskowe, jak i politycy od opieki nad Legionami, raz po raz zapytywali Kielce, czy aby te alarmy nie są prawdziwe. Do mnie wpadał ciągle z tymi niepokojącymi wiadomościami podpułkownik pruski, dowodzący załogą niemiecką. Był to skądinąd bardzo porządny człowiek i żołnierz — nazwisko jego wyszło mi z pamięci, słyszałem, że jakoby poległ potem pod Warszawą. Powiedziałem mu, że biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo kieleckiego garnizonu i ręczę, że niespodzianie napadnięci nie będziemy.

Wielką jest zaiste zasługą Beliny i mego biura wywiadowczego, złożonego prawie wyłącznie z kobiet, że mogłem wówczas posiadać dane o nieprzyjacielu. Opasałem wywiadami szerokie półkole dokoła Kielc tak, że istotnie byłem spokojny. Belina dokazywał po prostu cudów. Biedni ułani! Na siodłach, zdatnych do spacerów, niewtrenowani do dłuższych marszów, zajeżdżali konie, siedzenia zbijali na kotlety; uzbrojeni w długie, niezdatne do konnej służby karabiny, do krwi rozdzierali sobie plecy, a jednak wytrwale odbywali patrolowanie, robiąc niekiedy po 60—80 km dziennie w różnych kierunkach. Jeszcze bardziej ofiarnie pełniły służbę kobiety. Na furmankach tłukły się one samotnie po wszystkich drogach, zataczając kręgi znacznie obszerniejsze, niż jazda, bo sięgające do Warszawy, Piotrkowa i Dębina. Na podstawie moich danych uspakajałem mego Niemca. Narazie nie było się czego obawiać. Nad Pilicą, na północy, jeden pułk dragonów starał się dowieść, że jest nie pułkiem, a co najmniej korpusem jazdy. Kawaleria rosyjska była wprawdzie szeroko rozrzuconą nad Pilicą, robiła wywiady na południe i wschód, ale wywiad mój napotykał ciągle na jeden tylko i ten sam pułk.

Sam więc byłem spokojny, ale uspokoić swego otoczenia nie mogłem. Te głupie pogłoski o masach kawalerii robiły swoje. Przypuszczam, że były rozmyślnie puszczane, a że ludność składała się z Żydów i Polaków — nacyj, wypędzających bardzo starannie z głowy wszystko, co pachnie wojną, a zatem ludzi, niezwykle łatwowiernych i poddających się strachowi — więc nerwowy stan otoczenia udzielał się niewielkiej załodze Kielc, ba, sięgał dalej, aż do bram Krakowa. Lecz wkrótce sytuacja zaczęła się pogarszać. Austriacy przegrali walne bitwy pod Lwowem. Armia Dankla i grupa Kummera zostały w części rozbite, w części zmuszone do szybkiego odwrotu z Lubelszczyzny. Teraz zaczynało być istotnie ciepło. Na naszym lewym brzegu Wisły pierwsze dane o pogorszeniu sytuacji otrzymałem od swych wywiadowczyń aż spod Radomia, gdzie operował gen. Nowikow. Było to jeszcze daleko od nas, ale jednak zaczynało wzbudzać istotny niepokój.

Miałem wówczas zamiar przyjąć pierwszą bitwę pod Kielcami. Liczyłem, że będę miał przed sobą kawalerię rosyjską, a ta, po moich doświadczeniach z pochodu na Kielce, nie wzbudzała we mnie szacunku. Szło mi zaś o to, aby nawet w wypadku, gdybym miał opuścić Kielce, nie pozostawić po sobie wrażenia, że jesteśmy jakby dalszym ciągiem «uciekierów» z 1863 r. Cofnąć się możemy, lecz wtedy, gdy pierwszą obroną wykażemy, że bić się potrafimy, a przy cofaniu się

umiemy należycie zęby pokazać. Tam więc koło Kielc wybie-  
rałem sobie plac pierwszej większej bitwy. Nie sądzonym jed-  
nak mi było mieć bój pod tym miastem. Może być, że się stało  
i dobrze, gdyż Kielce same uniknęły ciężkiej kary i zemsty. Do-  
tąd jednak żał mi, że nie zatrzymał się przy swojej pierwszej  
decyzji i uległ okolicznościom. Okoliczności zaś były nastę-  
pujące.

Pewnego dnia przyszedł do mnie podpułkownik pruski  
z depeszą, że wojsko niemieckie nazajutrz wychodzi z Kielc,  
my zaś będziemy odwiezieni koleją do Krakowa, czy pod Kra-  
ków, prosi więc, abym się do tego wyjazdu przygotował.  
Oświadczyłem mu, że może on wychodzić z Kielc, dokąd mu  
się podoba, ja zaś zostanę w mieście, dopóki nieprzyjaciel nie  
zmusi mnie do cofnięcia się z niego. Nazajutrz rano zawiado-  
mił mnie, że rozkaz wymarszu cofnięto i że zostaje narazie i on,  
prosi jednak, abym wzmocnił swoje wywiady, bo on ze swymi  
landszturmami, złożonymi z ludzi o dosyć podżyłym wieku,  
nie jest w stanie prowadzić na szeroką skalę wywiadów do-  
koła miasta.

Przez dwa dni był spokój, lecz wieczorem dosyć późnym,  
dnia drugiego, przyszedł do mnie znowu komendant pruski  
ze swym adiutantem, przynosząc mi tym razem i depesę do  
mnie z Krakowa od Komendy Legionów. Telegram brzmiał,  
że mam razem z Prusakami i Austriakami wymaszerować na-  
zajutrz rano z Kielc w kierunku Staszowa, rekrutów zaś mam  
odesłać nazajutrz, rannym pociągiem do Krakowa. Podpułko-  
wnik pruski dodał, że to nie jest cofanie się, lecz — odwrot-  
nie — idziemy w kierunku nieprzyjaciela, który się ukazał koło  
Staszowa, liczy więc, że nie zechcę odmówić mu pomocy.  
Ciężko mi było istotnie odmawiać w tym wypadku. Przed dwoma  
dniami mowa była jedynie o cofaniu się do Krakowa, teraz  
o marszu w kierunku nieprzyjaciela. Odpowiedziałem, że się  
namyślę, i umówiłem się, że jeżeli pójdę razem, to wymarsz  
nastąpi raniutko, o świcie, ze zbiórką u rozdziwienia szos: kra-  
kowskiej i chmielnickiej. Po jego odejściu spędziłem bardzo  
przykrą godzinę, namyślając się, co mam uczynić.

Dobrze było mówić każdemu Austriakowi czy Prusakowi,  
że wychodzi z Kielc za kilka godzin. Żaden z nich niczym nie  
był z miastem związany, każdy otrzymywał wszystko, co mu  
potrzeba czy z Berlina, czy z Wiednia. Było im zupełnie obo-  
jętnym, czy to, co wyciskają z miejscowej ludności, biorą  
z Kielc, czy z innego miejsca. Żaden z nich również uczuciowo  
nie miał nic wspólnego z miastem. Dla mnie była to operacja  
i trudna i bolesna. Trudna dlatego, że w Kielcach założone

zostały wszelkie warsztaty: krawieckie, szewskie, rymarskie, tu pod względem wyekwipowania była moja baza, już do pewnego stopnia zorganizowana, i rozstać się z nią było niełatwo bez zmarnowania włożonej pracy i materiału. Tu też rozpoczęła się wcale nieźle praca organizowania nowych formacji wojskowych. Wreszcie względnie wielka ilość osób w Kielcach zaangażowała się w stosunki z nami. Opuścić ich bez pomocy — znaczyło wydać ich na zemstę nieprzyjaciela. Nie mogłem przecie mieć takiego stosunku do pracy, jak komendant Legionów, który, dowiedziawszy się od stojącego na warcie żołnierza, że jest moim rekrutem z Jędrzejowa, pogroził mu palcem, dodając: «Poczekaj, poczekaj! Przyjdą Moskale, to cię powieszają!»

Zostać jednak w Kielcach było bardzo trudno, powiedziałbym więcej — było niemożliwe. Pod względem technicznym byliśmy bardzo śmieszną organizacją, jak na r. 1914. Jeżeli w pierwszej chwili zgodziłem się na próbę wymarszu z werndlami, to teraz odczuwałem wyraźnie, że jestem w celach bardzo dziwacznych jak gdyby szantażowany przezbrojeniem nas w normalną broń repetierową. Szło o poddanie się komuś bez zastrzeżeń. Lecz gdy rozważałem pytanie, komu właściwie mam być poddany, nie mogłem znaleźć odpowiedzi dla samego siebie. Nie mogłem zdać sobie z tego sprawy, gdyż szantaż prowadzony był z dwóch, że tak powiem, stron: ze strony N. K. N., czyli organizacji polskiej, i ze strony austriackich oficerów sztabu, spomiędzy których każdy mówił co innego. Jeden udawał patriotę polskiego, chcącego razem ze mną konspirować przeciw Austriakom, tak, że wydawał mi się agentem prowokatorem, drugi ze wzruszeniem ramion mówił o wszelkich próbach N. K. N-u, trzeci żądał po prostu poddania się N. K. N-owi, grożąc rozbrojeniem nawet z werndlów i. t. d. Wyglądało mi to tak, że z jednej strony lekceważono nas zupełnie — na co byłem w pierwszych chwilach wojny przygotowany — z drugiej zaś strony szukano zrobienia jakiegoś niezrozumiałego dla mnie geszeftu czy kariery, kosztem naszym i naszej skóry. Nieraz zastanawiałem się, czy różni panowie z N. K. N-u i oficerowie sztabu, z którymi miałem do czynienia, odpowiadali przed jakąś władzą przełożoną za swoje postępowanie w stosunku do nas. W każdym razie pewnikiem dla mnie było, że jeśli ich obietnice i szantaże są czynione dla jednego i tego samego celu, to niedostatecznie się umówiono przedtem, nim rozpoczęto rozmowę ze mną. Przez cały ów czas miałem wrażenie, że mam do czynienia raczej z jakimś osobistym interesem tych wszystkich panów, którzy nie czuli się zobowią-

zani do mówienia prawdy swojej władzy. Jakimś niewyraźnym na razie celem, o ile zrozumieć mogłem wtedy, była chęć odebrania mnie i moim strzelcom możliwie dużo z tej samodzielności, którą dawała mi pierwsza umowa z Austrią. Chciano narzucić nam zewnętrzne cechy austriackie, poddać nas rozkazom nieledwie pierwszego lepszego drobnego oficera czy nawet agenta szpiegowskiego. Głównym momentem szantażu było uzbrojenie, tym próbowano stale wydobyć ze mnie zgodę na coraz nowe, coraz inaczej brzmiące propozycje, idące jednak zawsze w kierunku zmniejszenia naszej samodzielności. Ta widocznie była głównym wrogiem, główną naszą zbrodnią i wobec rozumujących Polaków z N. K. N-u, i — co już było bardziej naturalnym — wobec różnych przedstawicieli władzy wojskowej austriackiej.

Wahałem się, czy mogę pozostać w Kielcach. Byłem niedostatecznie uzbrojony, wyekwipowany licho wie jak, bez ła-downic, bez płaszczów, bez butów, wytrzymujących dłuższe marsze, bez środków, pozwalających żołnierzowi wieść w polu swoje skromne życie, wreszcie bez kuchen polowych, tego dobrodziejstwa żołnierza na wojnie. Byliśmy umundurowani licho, po strzelecku, za własne pieniądze, nie stanowiliśmy oddziału zdatnego — według powszechnego sądu t. zw. fachowców — ani do boju, ani do jakiegokolwiek operacji wojennej, wymagającej wysiłku pracy żołnierskiej przez kilka dni, bez żadnej przerwy.

Tym bardziej, tym silniej wzrastała we mnie wtedy chęć do ulegania temu sądowi, tym chętniej poszedłbym wbrew rozkazom, opartym na tym lekceważącym nas mniemaniu. Nie chciałem ustąpić przed głupotą sądów fachowych, przed sądami tchórzliwych mądrali polskich, powtarzających te fachowe dogmaty z głupotą w drugiej czy nawet dwudziestej potędze. Wahałem się. Przerzucałem raz po raz mapy, szukając wyjścia. Upierałem się przy zasadniczej myśli, której się trzymałem przy decyzji wymarszu z werndłami, dającymi od pierwszej chwili spotkania z nieprzyjacielem przewagę broni w jego ręce. Tą zasadniczą myślą były lasy. Te usuwają przewagę dalekonośności i szybkostrzelności, dają możliwość walki z równymi szansami. Błyskała mi myśl wyjścia naprzód i zajęcia gdzieś pozycji dalej od Kielc w lasach samsonowskich, tak, by mieć zapewnioną drogę odwrotu leśnymi drogami; to znów plan pójścia ku Miechowowi, trzymając się lasów na północ od kolei i szosy Miechów—Kielce, albo, co byłoby już trudniejszym, posunięcia się ku Pińczowowi i oparcia się na Nidzie. Powtórzyć chciałem w lepszy sposób niefortunny kontredans







Langiewicza koło Nidy, zakończony upadkiem operetkowej jego dyktatury. Odrzuciłem wreszcie te myśli i odłożyłem próbę zdania egzaminu bojowego, próbę zdobycia pracą i bojem szacunku dla siebie i strzelców.

Po pewnym wahaniu się powziąłem decyzję. Część oddziału pod dowództwem Sosnkowskiego pójdzie rano z Prusakami. Ja z częścią jazdy i dwoma batalionami piechoty zostanę jeszcze pół dnia w Kielcach. Przez ten czas ewakuuję Kielce z wszystkiego, co zostać tam nie może, i z tego, co mogłoby paść ofiarą zemsty nieprzyjaciela. Potem pomaszkeruję również ku Wiśle, stanowiąc, że tak powiem, straż tylną. Ta straż tylna, wbrew wszelkim zasadom, miała być przeciążona do niemożliwości mnóstwem taborów wszelkiego rodzaju.

Decyzja ta dużo mnie kosztowała. Tak było ciężko rozstawać się z pracą, która i ładnie już tu się rozpoczynała, i była jedyną nadzieją na samodzielną przyszłość wojskową. Galicja była jedynie odskocznią, egzamin trzeba było złożyć nie gdzieindziej, jak w Królestwie. Ale trudno — decyzja została powzięta i te same nocy zostały wydane odpowiednie rozkazy. Niektóre oddziały, rozesłane na wywiady i ochronę, trzeba było ściągać aż spod Końskich.

O świcie większość mego oddziału z Sosnkowskim odmaszerowała w stronę Chmielnika. Całe przedpołudnie byłem zajęty bolesną operacją ewakuacji Kielc. Na szczęście, pociąg ewakuacyjny istotnie przyszedł, można więc było dużą część wyprawić koleją, inaczej moja ariergarda wyglądałaby raczej na jakąś część wędrowki narodów, niż na wojsko. Dowódca pociągu prosił, bym nie wymaszerowywał z miasta dopóki pociąg nie odjedzie. Prośba była zupełnie naturalna. W Kielcach prócz moich dwóch batalionów i garstki beliniaków nie było już wojska, a pogłoski, coraz bardziej alarmujące, przychodziły raz po raz. Sam otrzymałem pewną wiadomość, że kawaleria rosyjska zbliża się od strony Radomia i Końskich. Jeszcze chwilę walczyłem z sobą, czy nie doczekać chociażby pierwszych patroli i ostrzelać plac pod Kielcami. Nie! Odrzuciłem raz jeszcze tę najprzyjemniejszą dla mnie decyzję. A tymczasem żegnałem się z Kielcami, z pałacem byłym biskupim, ogrodem, powiem wprost, z najpiękniejszą i najserdeczniej kochaną pracą i... — czego jeszcze nie wiedziałem — z najmilszym, bo najsamodzielniejszym okresem wojny. Pociąg nie odchodził o zamierzonym czasie, chwile pożegnania przeciągały się. Dopiero pod wieczór tabor i oddział ściągnął się na drogę do Chmielnika. Zdecydowałem zanocować w Morawicy. Nieprzyjaciela pod Kielcami jeszcze nie było.

Marsz nasz był łatwy, krótki i przy wieczornym chłodzie nie nużący. Dokuczał trochę kurz. Gdy jechał konno gdzieś na końcu kolumny, zastanawiałem się, jak to na wojnie inaczej się marsze odbywają, niż na szkolnych ćwiczeniach. Szliśmy marszem niby ubezpieczonym. Strzec musiałem specjalnie swej lewej flanki, skąd oczekiwałem nieprzyjaciela. Szczególnie zabawnie wyglądało to ubezpieczenie, gdyżmy weszli w korytarz, mający po obu stronach duże parcele leśne, oddalone od drogi o jakieś pięćset—osiemset kroków. Wobec dużego taboru kolumna nasza marszowa była niezmiernie długą, ciągnęła się co najmniej półtora, jeśli nie całych dwa km. Gdybym chciał być tak ostrożnym, jak to nakazują szkolne regulaminy, nie doszedłbym po prostu dnia tego do Morawicy i zamęczyłbym wojsko patrolowaniem tak trudnego do przejścia terenu. Ograniczyłem się zaś do wysłania na lewo, poza las, paru konnych patroli, reszta maszerowała spokojnie kolumną po drodze. Próbowiałem ustanowić jakiś związek pomiędzy kolumną a boczną osłoną, ale ani razu nie udało mi się tego zrobić. Przestrzeń wobec lasów była bardzo duża, a ludzi, użytych do osłony, bardzo mało. Maszerowało się zatem raczej pod osłoną boską, niż przy istotnym ubezpieczeniu wojskowym.

W Morawicy miałem bardzo miły nocleg we dworze. Nie spodziewanie spotkałem tam panią M. z dziećmi, żonę jednego z moich przyjaciół, u którego dziesiątki razy nocowałem w Kijowie podczas swoich nielegalnych wędrówek po państwie cara. Dzieci, że tak powiem, rosły w moich oczach. Miałem bardzo przyjemną chwilę. Tamże w nocy otrzymałem raport od Sosnkowskiego, który mi donosił o nadzwyczajnie uciążliwym marszu do Lisowa, gdzie stanęli na noc. Wyznaczono im, naturalnie, biwak w polu, gdzie uprzywilejowani, t. zn. Austriacy i Niemcy, zajęli kwatery we wsi. Nazajutrz równie gwałtownym marszem miano podsunąć się pod Staszów. Pożałowałem, że nie zostawił przy sobie jeszcze jednego batalionu — mieliby chłopcy daleko lepszy wypoczynek. Niestety, musiałem wyznaczyć na następny dzień marsz równie gwałtowny, ażeby zbliżyć się do maszerującego przede mną oddziału, który mógł już zgodnie z tym, co mi mówił pruski podpułkownik, wejść pod Staszowem w prawdopodobny kontakt z nieprzyjacielem. Nakazałem więc wymarsz bardzo wczesny. Wiedziałem, że nie będzie on łatwy. Nie mieliśmy kuchen polowych, które zawczasu przygotowałyby śniadanie dla ludzi, a w drodze podczas marszu na to, by zjeść obiad, musieliśmy znowu sobie radzić, gotując po chatach, co zabierało i dużo czasu, i wymagało pracy wielu ludzi. Nie było jednak rady,

więc rozkazy wydałem ostre, nakazując absolutną punktualność.

Marsz istotnie był bardzo ciężki. Jeszcze na razie o porannym chłodzie szło się bardzo raźnie. W Lisowie zastałem większą część taboru Sosnkowskiego, która jeszcze nie odmaszerowała. Była to garść chorych i słabych, dla których doktor szukał furmanek. Tu opowiedziano mi zabawną scenę podczas nocy na biwaku pod Lisowem. Strzelcy rozpalili ognie i, zebrawszy się koło ognisk, rozpoczęli chóralny śpiew. Wywołało to niepokój u nocujących w chatach Austriaków i Niemców. Przybiegł jakiś oficer z poleceniem, by zgaszono ognie i zaprzestano śpiewu; lasy są jakoby pełne kozaków i ten hałas gotów ich ściągnąć do Lisowa. Sosnkowski, oburzony, odpowiedział, że noc jest chłodna, jemu nie wyznaczono ani jednej chaty, więc musi pozwolić palić ognie, a co do tego, że «die Stschelzen singen», co ma sprowadzić kozaków, to i on, i strzelcy bardzoby się ucieszyli, gdyby istotnie przyszli kozacy, mieliby przyzwoity bój, a nie spędzanie bezsennej nocy pod gołym niebem i zazdroszczenie kolegom ich noclegu w ciepłych chatach. Pozostawiono biednym strzelcom wobec tego swobodę palenia ognisk i śpiewania. Odtąd przez dłuższy czas przysłowiowym było w całym moim oddziale określenie «die Stschelzen singen».

Z tego opowiadania wywnioskowałem, że jednak ciągle gawędy o niezliczonym mrowiu kozaków, ukrytych po lasach, robią swoje: czynią ludzi nerwowymi. W tym samym Lisowie i mnie opowiadano przy szklance herbaty, którą tam zdążyłem przelknąć, o tych kozakach, kręcących się w lasach okolicznych. Nie zwróciłem na to uwagi i nie zwiększyłem osłony swego marszu. Coś niecoś w tych opowiadaniach było jednak prawdy, bo gdym wyszedł z lasów lisowskich na otwarte pola pod Chmielnikiem, to na prawo na wzgórzach ukazywali się konni, jadący w kierunku już od Chmielnika. Ale byli to poszczególni jeźdźcy, którzy, rzecz prosta, nie odważyliby się zaczepić kolumny. Nie spostrzegłem nawet jakiegoś zdenerwowania u chłopców, sam zaś spokojnie zatrzymałem cały oddział w Chmielniku na dłuższy odpoczynek obiadowy. Nie mogę jednak nie przyznać, że sam byłem trochę niespokojny. Gdym przeszedł przez rynek, zawałony po prostu wozami tak, iż przecisnąć się było trudno, gdym zobaczył swoich chłopców, łąjących po miasteczku w poszukiwaniu prowiantów, papierosów itp. rzeczy, pomyślałem, że jeden szwadron, mający odwagę rzucenia się w ciasne uliczki miasteczka, narobiłby tu szalonego bigosu. Placówki dookoła były wystawione, ale chło-

pcy, uzbrojeni w werndle, z trudnością zatrzymaliby śmiało idącą naprzód jazdę.

Nieraz podczas wojny miałem do czynienia z podobnymi przypuszczeniami co do działań nieprzyjaciela. Nigdy właściwie człowiek na wojnie nie jest zupełnie pewny, zawsze są możliwości dla nieprzyjaciela szkodenia i zrobienia jakiejś mniejszej lub większej przykrości. Zawsze w takich wypadkach przychodzą do głowy różne środki zapobiegawcze i zawsze odbywałem z sobą krótką walkę z powodu myśli o tym zapobieganiu. Każdy taki środek opłacić trzeba przecież mniejszą czy większą pracą i wydatkiem nerwowym żołnierza. Widziałem podczas wojny tak często brak oszczędności pod tym względem i lekkomyślne marnowanie pracy i nerwów żołnierskich dla spokoju pana dowódcy. Dlatego doprawdy rad jestem, żem od początku wojny zawsze wychodził zwycięsko z walk z tą pokusą zapobiegania wszystkim możliwym niespodziankom. Rozstrzygałem prawie zawsze na korzyść nerwów żołnierza, na niekorzyść swoich własnych. Brałem niepokój na siebie i wołałem przeżyć kilka chwil przykrych i denerwujących, niż zrzucić z siebie brzemie tego niepokoju kosztem odpoczynku i spokoju moich żołnierzy. Później, gdy byłem już pewien i siebie, i swoich oficerów, i żołnierzy, że damy sobie radę, byłem w takich chwilach o wiele spokojniejszy i nie kosztowały one mnie tak dużo, ale na początku wojny, gdy tej pewności nie miałem jeszcze, nieraz odbywałem z sobą ciężką i przykrą walkę. Zewnętrznie wyrażało się to zawsze w zwiększonej ilości wypalonych papierosów i zaciętym milczeniu.

W Lisowie postąpiłem zgodnie z moją metodą. Upewnilem się tylko, czy placówki istotnie rozstawione, kazałem zmniejszyć, o ile możliwości, ilość żołnierzy, włączających się za zakupami w miasteczku, i poszedłem na herbatę.

Z Chmielnika ruszyliśmy w kierunku Staszowa. Droga zrobiła się znacznie cięższa. Przedtem maszerowaliśmy szosą, teraz wpadliśmy na drogę, która może niegdyś była szosą, ale dziś była pełną piaszczystych wybojów. Upał nie ustawał. Kolumna i wozy szły w obłokach kurzu, kurzu tak gęstego, że ludzie nikli po prostu w tych tumanach, stając się coraz bardziej podobnymi do jakichś murzynów. Paliło szalone pragnienie, język przysychał do podniebienia, a suchość czuło się gdzieś w okolicy żołądka. Musiałem coraz częściej przystawać, a przy przemarszu przez wsie pozwalać na dłuższe odpoczynki dla nabrania wody. Kolumna się rozciągała i pełzła w tumanach kurzu leniwie i ospale. Zamilkły śpiewy, coraz więcej chłopców siadało przy drodze dla chwilowego odpoczynku.

Z każdego batalionu kilku oficerów i lekarz zbierali tych biednych osłabłych chłopaków, zachęcając ich do nabrania siły i pocieszając, że ot tam, za tą górką lub laskiem już koniec marszu i odpoczynek.

Wyjechałem naprzód przed kolumnę. Zbliżał się wieczór; odczuwałem, że niepodobna będzie kontynuować marszu dalej. Trzeba było zatrzymać się na odpoczynek. Na pagórku stał dwór Grabie Wielkie wraz ze wsią tej samej nazwy. Zdecydowałem, by dać tu ludziom dłuższy odpoczynek. Wysłałem naprzód kwatermistrzów i stanąłem pod pagórkiem, na który droga stromo prowadziła po piasku. Mój ty Boże! żal mi było patrzeć! Z przechodzącej kolumny raz wraz osuwał się do rowu przydrożnego żołnierz i padał bezsilnie na trawę. Na ten ostatni pagórek nie starczyło mu już sił!

Pojechałem do dworu i wysłałem stamtąd lekarzy z wozami, aby ściągnąć osłabłych na nocleg. Zapadał duszny, nie przynoszący ulgi swą ochłodą, wieczór. W Grabiach ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzałem tabor pruski, idący na powrót w stronę Chmielnika. Ciężkie, przeładowane wozy zarzyły się w piach nieledwie po osie: konie, równie ciężkie i ogromne, pokryte potem i pianą, z trudnością wyciągały wozy z jam i dziur na drodze. Obok szli flegmatycznie opaśli landszturmiści, pykając fajki. Dziwnie niedostosowany do naszych dróg był ten ciężki, ładowny tabor niemiecki. Nie mogłem zrozumieć tego powrotnego ruchu taborów. Wysłałem oficera sprawdzić, co to znaczy? Okazało się, że wozy po tej drodze dalej iść nie mogą, wracają na szosę do Chmielnika, skąd pójdą szosą na Busk do Nowego Korczyna. Gdzież więc ten marsz ku nieprzyjacielowi? Wkrótce otrzymałem wyjaśnienie.

Od Sosnkowskiego przyszedł raport. Marsz mieli równie ciężki, jak my. Nasi kawalerzyści poszli aż do Staszowa. Mieli niewielką potyczkę z patrolami rosyjskimi, które szły od wschodu. Cały oddział jutro rano ma iść na południe na Wisłę, by pod Szczucinem przejść Wisłę i pójść do Galicji. Marsz jutrzejszy wyznaczony jest do Pacanowa.

Byłem wściekły! Więc do Galicji! Gdzieś się kilku kozaków ukazało i my wszyscy pospiesznie mamy zmykać od nich? Po co w takim razie wychodziłem tak pospiesznie z Kielc? Stamtąd tak samo wygodnie, a raczej jeszcze wygodniej mogłem zdążyć do Galicji, ale odchodziłbym pod istotnym naciskiem nieprzyjaciela, cofając się krok za krokiem, zmuszając go do rozwinięcia swych sił. Nie zostawiłbym ani wrogom, ani swoim podwładnym cienia wątpliwości, że się cofamy, jak żołnierze, a nie umykamy, jak zające, z powodu lada pogłoski

głupiej o tysiącach kozaków, reprezentowanych realnie przez kilkunastu jeźdźców z patrolów. Dusiła mnie pasja! Bo teraz co? Granie Wielkie niechybnie są bardzo ładnym miejscem na świecie, mam dla nich duży szacunek, ale co tu właściwie robić, gdy w Kielcach i okolicy każda godzina była wartościową? Zostawać w Grabiach, tak, jak chciałem to zrobić w Kielcach, nie ma najmniejszego sensu i celu. Jestem po prostu zmuszony do dalszego marszu do Galicji.

Jednak w głębi duszy istniała taka głęboka niechęć do opuszczenia Królestwa bez jasnego nacisku ze strony nieprzyjaciela, że i rozkazy, które w sprawie marszu wydałem, miały charakter ociągania się. Wyruszyć mieliśmy późno, jako cel marszu wyznaczyłem Stopnicę — ostatnie powiatowe miasto w Królestwie. Gdzieś jeszcze żyła nadzieja, że może się coś odmieni, a może łaskawe nieba zeszlą mi wreszcie kozaków, abym mógł z Królestwa wychodzić, jako walczący żołnierz, a nie jako uciekający przed paru kozakami demonstrant.

Nie mogłem się pozbyć uporczywej chęci zwalczania tradycji myślowej naszego polskiego społeczeństwa w stosunku do 1863 r. Znałem doskonale tę tradycję! Pobłażliwa pogarda bardzo a bardzo rozumnych i praktycznych ludzi wobec śmiesznie głupiotkich stworzeń rozmazanych marzeniem o samodzielnej pracy polskiej, — to najwzględniejszy sąd, który spotkać mogliśmy dla siebie w tej tradycji. Obok zaś taki rozumny, taki praktyczny geszefcik, taki, co niecałe trzy grosze dziennie zarabia, a osłonięty ogromnym, olbrzymim hasłem patriotycznej pracy organicznej, której przeszkadzają takie właśnie wariaty! Piękna polska tradycja po klęsce 1863 r.! Znałem to dobrze i wiedziałem z góry, do czego ta tradycja prowadzi — do najczarniejszych, do najsmrodliwszych sprzedaży i siebie, i polskich interesów, i polskiej samodzielności — każdemu, kto płaci. Znowu więc, dla pociechy tych tradycyjnych Polaków, mam być «uciekiniem» z czasów 1863 r.! Po to mnie może uzbrojono lichy, po to zrobiono wszystko, bym nie mógł dobrze i przyzwoicie walczyć. Po to, by tym pewniejszy był tryumf «praktycznej, geszefciarskiej» myśli nad upartą głupotą «romantyków» o «samodzielnych» głowach!

Nieba nie były łaskawe! Noc minęła zupełnie spokojnie, równie spokojnie i pierwsze ranne godziny. O nieprzyjacielu ani słuchu, ani ducha. Nie, przepraszam, otrzymałem niezwykle zabawny meldunek o zbliżającej się «czarnej sotni». Tak! «czarnej sotni»! Rzecz się tak miała. Jeden z chłopców z V batalionu — jednego więc z tych, które maszerowały ze mną, a zatem ostatnie wyszły z Kielc — robotnik z Podgórza pod



Krakowem, zawieruszył się jakoś przy odchodzeniu forpoczt z przed Kielc i pozostał sam, jako jedyna wojskowa osłona miasta od nieprzyjaciela. Jeden z tych wielu filozofów-dłubinosków, jak ich nazywałem, którzy w początku wojny lubili się gapić, rozkoszując się filozoficznie swobodnym życiem żołnierskim, którego dotąd nie znali. Otóż ten żołnierz doczekał pod Kielcami przyjscia Moskali, widział ich, oglądał, potem udał się do okolicznych mieszkańców, którzy go nakarmili i przebrali za wiejskiego chłopaka. W tym przebraniu powędrował za nami. Gdy przeszedł pod Morawicą forpocztę rosyjskie, dobrodusznie pożegnały go one uderzeniem nahajki po plecach. Dotarł wreszcie do Grabki, do oddziału, i teraz właśnie meldował mi swoje spostrzeżenia. Twierdził, że do Kielc przyszła «czarna sotnia».

— Jaka czarna secina? — pytam — czy to byli ludzie cywilni?

— Nie, Obywatelu Komendancie! Nie cywilni, wojsko!

— Więc jakaż to czarna sotnia? Dlaczego tak to wojsko nazywacie?

— Jakże, Obywatelu Komendancie! Czarna sotnia, na pewno. I konie były czarne, i mundury, i spodnie też czarne! Widziałem na własne oczy. Tylko srebrne galoniki mieli na spodniach, reszta wszystko czarne, nawet konie!

Uśmiełem się serdecznie. Jeden z pułków rosyjskich, zdaje się, huzarskich, tak właśnie jest umundurowany, a mój podgórzanin, który tyle czytał o okrucieństwach «czarnej sotni» w Rosji, uznał natychmiast tych huzarów za okrutną awangardę rosyjską, idącą wywierać w Kielcach zemstę na strzelcach.

Powtarzam, nieba nie były łaskawe: ani od Staszowa koźcy, ani od Kielc i Morawicy «czarna sotnia» nie ukazała się wcale, aby dać mi satysfakcję boju w Królestwie, a wyznaczony czas wymarszu zbliżył się. Jeszcze chwilka oczekiwania i opuściliśmy Grabie, maszerując ociężałym marszem ku Wiśle. Marsz i tym razem był ciężki, powietrze duszne, parne, przeddeszczowe. Jakoż, gdyśmy pod wieczór zbliżali się do Stopnicy, lunął deszcz, zmieniając drogę w brudne lepkie błoto. Do miasta wchodziliśmy, gdy już ściemniało zupełnie.

Po wysłuchaniu raportu o rozkwaterowaniu wojska wyszedłem na rynek. Plac, jak w Chmielniku, był zapchany taboarami; konie wyprężone chrupały owies i siano, na wozach, nakryci derami, leżeli woźnice, w ogromnej części miejscowi włościanie. I tak samo, jak w Chmielniku, myślałem:

— Jak tu łatwo o popłoch, jak łatwo uczynić mnóstwo

szkody! Śmiały napad nocny mógłby rozbić wszystkie moje szacowne zbiory kieleckie!

Trochę niepokoju wkradło mi się w duszę i poszedłem sprawdzić osłonę najniebezpieczniejszego kierunku — wschodniego. Tu było spokojniej — byłem wśród wojska, nie wśród taborów. Placówka stała przyzwoicie, wysyłała przed siebie patrole, a jednak i tu ile sposobności dla przedsiębiorczego i odważnego przeciwnika!

Pomimo tych niepokojów zasnąłem smacznie, marząc wciąż o tym, że nieba będą mi łaskawsze w Stopnicy, niż w Grabiach, i ześlą mi jutro jaką «czarną» czy innego, mniej żalobnego koloru «sotnię» na pożegnanie z Królestwem. Od Sosnkowskiego przyszedł raport, że nazajutrz rano wyznaczono odmarsz do Szczucina. Posłałem mu rozkaz, by z całym oddziałem został w Pacanowie i czekał tam na mnie. Jeszcze nie opuszczała mnie nadzieja, którą pieściłem w duszy.

Belinie kazałem ze świtem rozesać patrole w różne strony i postanowiłem czekać. Zwiedziłem nazajutrz rano klasztor, jeden z nielicznych, jaki pozostał w Królestwie. Tam kwaterą stał Belina. Klasztor miał tegie mury, stał dosyć odosobniony od miasta i, zwiedzając go, przychodziła mi myśl, by tam właśnie zatrzymać się dłużej. Lecz co ja zrobię z tymi przekłętymi taborami? Cały skarb, zebrany w naszej bazie kieleckiej, był tam na wozach, a wychodząc z Kielc, dałem rozkaz niepozostawienia tam żadnego rzemyczka. Twierdziłem, że jeżeli już mamy się wycofać z Kielc, to tak, aby nie było najmniejszego śladu popłochu czy przerażenia. Byłoby więc teraz niekonsekwencją rzucić te wszystkie zapasy na łaskę i niełaskę losów. Tabor trzeba odprowadzić w bezpieczne miejsce, kto wie, czy prędko będę mógł się znowu zdobyć na organizacyjno-taborowo-warsztatową pracę, a w łaskawą opiekę z góry niebardzo mi się chciało wierzyć. Ociągałem się z rozkazem wymarszu, namyślałem się wciąż, co robić, licząc ciągle, że «czarna sotnia» ukaże się na horyzoncie. Tak czas zszedł do obiadu.

W południe zjawił się u mnie podoficer legionowy, przybyły ze Szczucina, meldując mi, że przyszło tam z kompanią saperską trochę uzupełnień dla piechoty i — co główne — transport karabinów Manlichera na zmianę naszych ciężkich, niezgrabnych i przestarzałych werndli. To było już coś. Po to warto było chodzić do Galicji. Sosnkowski zaś przysłał raport z Pacanowa, że otrzymał rozkaz, przynaglający do wymarszu, z ostrzeżeniem, że most w Szczucinie czeka tylko na nasz przemarsz, aby być zerwanym i spalonym. Sosnkowski prosił więc

o rozkazy, donosząc mi zarazem, że na wschód od Pacanowa ukazały się patrole nieprzyjacielskie.

Nareszcie kończył się szantaż karabinami! Teraz zaczniesz się szantaż mundurami, butami i kuchniami! Przypomniałem sobie te same manewry z karabinami przy ćwiczeniach strzeleckich. Jeden pozwalał, drugi za nic w świecie. Jeden ustępował, jak w żydowskim sklepie, mówiąc: «Niech będzie, to tylko dla pana!» — drugi akurat odwrotnie twierdził: «Dla pana? Niepodobieństwo, ten a ten urząd czy oficer nie pozwala!» I pamiętam, gdy ten system podziwiał, jeden z rozumnych oficerów sentymentalnie i sentencjonalnie tłumaczył mi, że «u nas inaczej niczego nie można zrobić!» Nie sądziłem, aby przy wybuchu wojny, gdy państwo trzeszczało od nadmiernego wysiłku i gdy tyle władzy spoczęło nagle w ręku oficera, mogło pozostać to samo. A jednak! Wydawało mi się, że widzę ten sam szykano-personalny system, który teraz jest stosowany do mnie.

Niezrozumiałym dla mnie było i to straszenie mnie palem mostu w Szczucinie. Przed czym czy przed kim drżą tam ci, którzy przy moście stoją? Przed kozakami, którzy się w okolicy Pacanowa ukazali? Nie chciałem ustąpić przed głupią trwogą i kazałem wydawać żołnierzom obiady. Czyż nie mają oni jeść tylko dlatego, że kogoś tchórz oblatuje?! Wreszcie z ciągłym ociąganiem się dałem rozkaz wymarszu do Pacanowa. Nieba i nie były łaskawe na nas i w Stopnicy. Odmaszerowaliśmy po obiedzie zupełnie spokojnie. W Pacanowie zastąpiłem Sosnkowskiego z całym oddziałem. Otrzymywał on ciągle ze Szczucina gwałtujące nakazy maszerowania do Galicji z ustawicznymi groźbami spalania mostu. Oddział, do którego należał, był w ciągu ostatniego dnia i podczas noclegu w Pacanowie w stanie wielkiego podenerwowania. Spodziewano się tam co chwila napadu ze strony Rosjan, kozaków widziano nieledwie za każdym krzakiem.

Dziwna rzecz, jak zaraźliwym jest stan nerwowy na wojnie, jak łatwo poddać się sugestii niepokoju wobec ciągłego braku istotnie pewnych, że tak powiem, oczywistych danych o nieprzyjacielu. Do Szczucina trafiłem w 30 i parę godzin po przejściu przez Wisłę Austriaków i Niemców i poza drobną zupełnie utarczką z patrolem kozackim na wschód od Pacanowa nie miałem do czynienia z nieprzyjacielem. Tym czasem Austriacy i Niemcy już się widzieli prawie osaczonymi przez mrowie kozackie. Czyż nie jest to sugestia, wynikła z ustawicznych plotek i gawęd o tym mrowiu?

Objawów takiej sugestii można obserwować na wojnie mnóstwo. Do nich należała ta po prostu mania prześladowcza,

która opanowywała ludzi na tle szpiegostwa, posługującego się rzekomo sygnalizowaniem różnego rodzaju znakami. Ile wiatraków padło ofiarą tej choroby, ile niewinnych ofiar złożyła biedna ludność polska! Ilekroć razy spotykałem się z objawami tej wojennej psychozy, tylekroć razy przypominałem sobie wypadek gen. Trasowa w czasie bitwy nad rzeką Jalu, opisany przez kapt. Swieczyna w jego wspomnieniach z wojny japońskiej. Ten trochę chory nerwowo generał upstrzył sobie, że widzi na górach przed frontem ogniki czerwone i zielone i na tej jedynie podstawie doszedł do przekonania, że jest zaatakowany przez Japończyków. Nazajutrz biednego Trasowa pozabawiono komendy.

Te ogniki i światełka to też była choroba, którą spotykałem często. Muszę przyznać, że są one istotnie denerwujące. Przypominam sobie wypadki, gdy sam siebie albo swych oficerów łapałem na przesadnej na tym tle podejrzliwości. Wśród ciemnej nocy błyska takie światełko i niknie, by zamigotać na nowo. «Po co, na co? Przecież — myślę sobie — dla zwykłej codziennej potrzeby nikt tak światłem nie manewruje». Parę razy starałem się zbadać przyczyny tych zjawisk, za każdym razem przekonywałem się, że źródłem ich są właśnie zwykłe codzienne prace, najczęściej własnego wojska. Gdym o tych rzeczach rozmawiał z wyższymi oficerami, zawsze dowodziłem, że nasz chłop, tak często analfabeta, nigdy nie da sobie rady ze skomplikowanym aparatem sygnałów świetlnych, tym bardziej z depešowaniem systemem Morsego. Przyznać jednak muszę, że te błędne ogniki działają na nerwy i mogą wywoływać sugestie.

Przypominam sobie jeden wypadek z początków wojny, bardzo charakterystyczny pod tym względem. Po pierwszym cofnięciu się z Kielc, cały nasz oddział zebrał się pod Chęciami. Góra z ruinami zamku była obsadzona przez Wyrwę, który miał przeczekać odejścia całego oddziału w stronę mostu na Nidzie i potem zejść na szosę i stanąć ariergardę. Gdy oddział minął górę, zatrzymałem się, by dopilnować sprawnego funkcjonowania ariergardy. Batalion Wyrwy grupkami schodził z góry na szosę i formował się w kolumnę. Było już ciemno, gdy Wyrwa mi zameldował, że są już wszyscy i że możemy odchodzić. I w tej właśnie chwili zaczęły błyskać światełka na górze, którą przed chwilą opuścili żołnierze.

— Rzecz prosta — słyszałem w szeregach — sygnalizują, że góra opuszczona!

Wyrwa, jak zwykle, wesoly, zaczął nawet odczytywać sygnały. Wyznam otwarcie, zrobiło mi się jakoś niezręcznie. Jak-

gdybym czuł jakąś wrogą nieuchwytną dłoń, czyniącą gdzieś blisko mnie jakieś niezrozumiałe dla mnie, a jednak niechybnie mi szkodzące ruchy. Błysnęła mi myśl, by kazać dać salwę w kierunku światelka, nieprzestającego błyskać na górze. Lecz wkrótce rozległ się stamtąd głos, wołający nie kogo innego, jak nas. Okazało się, że jeden z żołnierzy zapomniał przy odejściu papierośnicy i wrócił po nią na górę. Szukał swej zguby, świecąc sobie latarką elektryczną. Śmiałem się z Wyrwy, że ten już starał się odczytywać sygnały. Wyrwa był wściekły i kłął żołnierza na czym świat stoi.

Powstrzymałem się od dania rozkazu strzelania w kierunku światelka. Jestem przekonany, że ogromna większość ludzi taki rozkaz by dała. To uspokaja nerwy — jest jakaś czynność, przeciwdziałająca niebezpieczeństwu. Na wojnie zaś mnóstwo rzeczy dzieje się dla uspokojenia nerwów mniejszych i większych dowódców. Przeciąża się pracą podkomendnych, pali się wiatraki, wieszka się niewinnych ludzi — wszystko pod pozorem zapobieżenia niebezpieczeństwu, właściwie zaś dla uspokojenia rozdrażnionych nerwów tego czy innego pana. «À la guerre comme à la guerre!»<sup>1)</sup>

Podczas naszego marszu z Kielc nie poddawałem się sugestii o mrowiu kozackim, otaczającym nas dokoła. Miałem tę satysfakcję, że ostatni schodził z pola, chociaż, zdaniem moim, i moje zejście z pola było przedwczesne i śmiało mogło być jeszcze o całą dobę, jeśli nie o dwie, odciągnięte bez żadnej szkody dla oddziału. Gdybym nie miał taboru, prawdopodobnie na złość tym strachom i sugestiom, zostałbym jeszcze w Królestwie. Tak przykro, tak ciężko było z nim się rozstawać i wracać do Galicji, skąd się na wojnę wyszło. Zdawało się — a i istotnie tak było — przekroczenie powrotne granicy zamyka na wieki część tego, czym się żyło w początku wojny. Odsuwa bezpowrotnie w przeszłość coś bardzo drogiego. Drogiego, bo jakąś prawie urzeczywistnioną prawdę o samodzielnej pracy polskiej i widocznym, jasnym jej rozwoju.

Ze smutnym i ciężkim sercem wkraczałem na most pod Szczucinem. Most istotnie był przygotowany do spalenia. Na tamtym brzegu udałem się od razu do miejscowego komendanta, jakiegoś grubego, poczciwego podpułkownika, by go uspokoić i nie dać mu spalić mostu zaraz po przejściu pierwszej grupy mego oddziału. Wiedziałem bowiem, że po nocy kolumna znacznie się rozciągnęła. Droga nad Wisłą była błotnista i wozy raz po raz grzęzły, rozbijając kolumnę na części.

<sup>1)</sup> Na wojnie jak na wojnie!

Po rozmowie oficjalnej z owym podpułkownikiem zwróciłem się do niego, jako do komendanta nieszczęśliwego mostu, przeznaczonego na zagładę, z prośbą, aby niewielką część furmanek, wziętych z najbliższej okolicy, puścił wolno z powrotem po przewiezieniu bagażu na tę stronę. Poczciwy podpułkownik nie miał w zasadzie nic przeciw temu, wyrażał tylko obawę, czy chłopci, jako Rusini (*Ruthenen*), nie będą nam szkodzili po powrocie.

— Ależ oni nie są Rusinami! — mówię mu zdumiony.

— Czy pan z pewnością ręczy, że wśród nich nie ma Rusinów? — pytał mnie tryumfująco. — Przy tak mieszanej ludności nigdy takich rzeczy twierdzić nie można.

Byłem zupełnie zabity tym nadzwyczajnym odkryciem mieszanej ludności rusińsko-polskiej w powiecie stopnickim. Najzagorzalsi polakożercy z pomiędzy Rusinów czy Rosjan tak daleko nie sięgali w swych apetytach, jak ten dobroduszny rusinofob. Taką właśnie niebotyczną ignorancję stosunków polskich spotykałem bardzo często zarówno u austriackich, jak niemieckich oficerów. Trzeba przyznać, żeśmy o sobie kazali zapomnieć światu. Ignorancja ta jednak była zawsze dla mnie świadectwem, jak właściwie Niemcy i Austriacy nie na serio przygotowali się do wojny z Rosją, jak mało wchodziła ona w ich rachuby, a zatem jak mało również rachowali się ze wszystkim, co jest związane z Polską. Moja rozmowa z podpułkownikiem austriackim to jeden z przykładów tej ignorancji, która nieraz mnie podczas wojny śmieszyła, choć częściej drażniła i gniewała.

Pod Szczucinem staliśmy cały dzień następny. Tu czekało na nas całe moje uzupełnienie i saperzy. Jedni i drudzy przyszli z Krakowa z opaskami czarno-żółtymi. Upięszono nam mundur taką opaską na znak, że jesteśmy w austriackim landszturmie. Pierwszy komendant Legionów, gen. Baczyński, przedtem, nim przysłał nam naboje i amunicję do Kielc, nadał cały transport takich opasek. Rzecz prosta, że nie próbowałem nawet rozdawać tego żołnierzom. Miałbym obawę, aby kolory państwa, opiekującego się nami, nie uległy profanacji. Trzeba było słyszeć dowcipy moich chłopców, trzeba było widzieć zawstydzone miny żołnierzy uzupełnienia, pospiesznie zrzucających z mundurów ten państwowy dodatek, aby zrozumieć, jaką sprzeczność z duchem, panującym wśród żołnierzy, stanowiła cała umowa, zawarta przez N. K. N. z Austrią. Dodam, że od żadnego landszturmu w Austrii tego dodatku do umundurowania nie wymagano. Była to niechybnie mądra inwencja jakiegoś zaczonego sztablera, przeświadczonego

o istnieniu mieszanej rusko-polskiej ludności pod Kielcami i pod Warszawą. Obawiał się on zapewne, byśmy nie włożyli nagle opasek czerwono-białych i tym nie obrazili najświętszych uczuć drugiej połowy mieszanej ludności, rozkochanej prawdopodobnie w innych kolorach.

Tutaj też, w Szczucinie, zrzuciliśmy z siebie nasze werndle. Mieliśmy nareszcie repetierowe karabiny Manlichera. Lżej odetchnąłem, gdym zobaczył moje bataliony, przechodzące koło mnie z nowoczesną bronią. Nie tak jednak patrzyli na to niektórzy z moich żołnierzy. Już się zdążyli oni przywiązać do swoich karabinów. Szczególnie górale z II batalionu wyrzekali na nową broń. Werndle były ciężkie, duże, czuło się, że się ma coś w garści. Miały one bagnety ledwie nie dłoń szerokie, kule wyglądały, jak średniej wielkości ziemniaki — to ci była broń! A to zabawki jakies. «Czy tym aby można zabić nieprzyjaciela?» — martwili się górale. Otrzymałem karabiny, ale nabojów do nich przysłano tak mało i w tak nieporządnym stanie, bo zmieszanych z ładownicami i innymi częściami wyekwirowania, że doprawdy uważałem to za jakąś rozmyślną szykanę. I kto wie, czy jej nie było. Musiałem natychmiast starać się o amunicję i porozsyłać po nią furmanki.

Tu zaszedł też komiczny incydent, charakteryzujący ówczesny stan wewnętrzny naszej organizacji wojskowej i dający zarazem pojęcie, jak na razie było trudno zrobić ze wszystkiego maszynę, funkcjonująca bez nadmiernego tarcia. Miałem dwóch nadzwyczajnie skądinąd miłych oficerów, którzy odznaczeni się niezwykłą czupurnością i skłonnością obrażania innych i łatwością obrażania się samym. Lubilem ich, tak zresztą, jak lubilem całe nasze wojsko, — znani w pierwszej Brygadzie Belina i Wyrwa. Poszło pomiędzy nimi w Szczucinie o konia czy o siodło. Kawaleria, muszę wyznać otwarcie, nie odznaczała się poszanowaniem czyjejkolwiek własności, o ile chodziło o konia czy o siodło. Formowana przez Belinę w okresie kieleckim, że tak powiem, z niczego, szukała ona stale albo konia, albo siodła, albo najczęściej i jednego, i drugiego razem, gdyż zawsze brakowało ułanom wszystkiego.

W batalionie Wyrwy właśnie zginał koń czy siodło i Wyrwa popędził od razu na poszukiwanie zguby nie gdzieindziej, jak do ułanów. Tam spotkał młodego oficera ułanów, który nie dopuścił go do oglądania koni i siodła. Wyrwa — gorączka, jak zwykle — naklął, co się zmieści, i groził sprowadzeniem kompanii ze swego batalionu dla zrewidowania ułańskich ruchomości. Belina stanął w obronie ułanów, a że również, jak Wyrwa, nie należy do ludzi, mało impulsywnych i ma-

jących silne hamulce psychiczne, rozmowa przybrała pomiędzy przyjaciółmi — bo byli takimi — charakter drażliwy i ostry. Obaj stanęli do raportu do mnie ze skargą. Jak dzisiaj, widzę ich obu rozgorączkowanych sporem, gdy weszli do mnie, jak dwa rozsierdzone koguty, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie. Obu lubiłem bardzo i jako swoich uczniów, i jako zdolnych oficerów. Śmiech mnie brał pusty, patrząc na ich rozindyczone miny, lecz, gdy w obecności mojej dalej spór chcieli prowadzić, rozkrzyczałem się na dobre. Byłem zniecierpliwiony, gdyż takich właśnie sporów o drobnostki, o słowa nieraz, miałem w początku wojny całe mnóstwo. Zabierały one mi dużo czasu i świadczyły ciągle o niedostatecznie jeszcze utartych wzajemnych stosunkach pomiędzy ludźmi, którzy wczoraj jeszcze byli równymi sobie kolegami, a teraz od razu mieli być wojskiem z ustaloną hierarchią i ustalonymi stosunkami służbowymi. Sąd wydałem zupełnie Salomonowy. Kazałem, mianowicie, owego młodego oficera ułanów oddać pod rozkazy Wyrwy do komendy batalionu na tyle czasu, aż Wyrwa zda mi raport, że jest z oficera zadowolony. Wiedziałem, że złote serce łatwo wzruszającego się Wyrwy jednego dnia nie wytrzyma w gniewie. Tegoż wieczora też i Wyrwa meldował mi prośbę, aby ukaranego oficera odesłać z powrotem do ułanów.

Ten śmieszny obrazek staje mi zawsze w pamięci, gdy myślę o trudnościach, jakie miałem do zwalczenia przy organizacji próby wojska w 1914 r. Musiałem bronić się od ciągłych szykan i szantażów ze strony otoczenia, a równocześnie swoim jedynie autorytetem moralnym zmniejszać tarcia wewnętrzne, wynikające z szybkiej formacji ochotniczego materiału ludzkiego. Wyczuwałem, że mi praca idzie, że się udaje, lecz, wyznając, była ona ciężką; tym cięższą, że wszystko od początku odbywało się w polu, podczas zetknięć z nieprzyjacielem, niekiedy w boju lub w jego oczekiwaniu. Nieraz przed wojną marzyłem o pracy podobnej, jako eksperymencie, przeczącym rutynie myślowej w wojsku, eksperymencie, nie dającym się pogodzić z żadną doktryną oficjalną i nieoficjalną. Wydawało mi się, że Polska jest skazaną na szybką improwizację siły zbrojnej, jeśli ją w ogóle chce mieć. Wszystko zaś, co było teorią, wszystko, co było uznaną doktryną, wszystko, co było stale i powszechnie powtarzanym przez wszystkie papugi, twierdziło: «Lasciate ogni speranza! <sup>1)</sup> — to głupie, to niemożliwe!» Miałem teraz w rękę możliwość improwizowania siły zbroj-

<sup>1)</sup> Napis nad piekłem w utworze Dantego «Boska komedia». Lasciate ogni speranza voi ch'entrate — porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić.



nej — i tyle od razu szykan, i tyle przeszkód, i tyle... niebotycznej, tchórzliwej głupoty!

Otrzymałem tegoż dnia rozkaz, tyjący się dalszej pracy. Ze zdziwieniem oglądałem ten papier. Oddawano mojej pieczy odcinek Wisły od Bolesławia w górę rzeki do ujścia Dunajca. Szło o przykrycie cofającej się armii 1-ej gen. Dankła, która była aż pod Lublinem, a teraz cofała się poza naszymi plecami gdzieś pod Tarnów.

Niewesoła perspektywa. Rozkaz podpisany był przez dowódcę etapów 1-ej armii, co mnie niezmiernie zdziwiło, wyglądało bowiem tak, jak gdyby dowództwo armii przestało istnieć, a my, należąc do etapów armii, mimo to mamy zadanie bojowe. O sytuacji całej nie było ani słowa, o nieprzyjacielu i jego działaniach nie umiano czy nie chciano czegokolwiek napisać. Pozostawiono to zupełnie domysłom wykonawców rozkazu lub plotkom, które krążyły już o klęskach pod Lublinem i pod Lwowem. Przeczytałem kilka razy rozkaz, tak sprzeczny z moimi pojęciami o rozkazie, wrzusałem ramionami i, nie znając jeszcze austriackiego systemu rozkazodawstwa, przypuszczając zacząłem, że armia właściwa jest jeszcze znacznie ku wschodowi — co było zresztą słuszne — a niecisłość i nieumiejętność pisania rozkazu jest związana z etapowymi pojęciami o rozkazie i wojnie. Rozkaz był za to tyleż pompatyczny, co niejasny. Nakazywał on wszystkim odcinkom, a więc i naszemu, nie ograniczać się jedynie do pasywnej defenzywy, lecz wskazywał na konieczność ofensywnego w razie możliwości działania. Miała to być taka «ofensywna defenzywa» czy «defenzywna ofensywa», przy czym rozkaz ani słowem jednym nie zaznaczał, o co właściwie idzie więcej: czy o ofensywę, czy — odwrotnie — o defenzywę. Każdy więc z dowódców odcinków, a było ich kilku, mógł sobie dowolnie kłaść nacisk na obronę lub na wymagający więcej śmiałości atak. Co prawda, trochę śmiesznym wydał mi się ten atak etapów, jako awangardy, lecz myślałem, że może mieliśmy być zastąpieni potem przez armię 1-ą czy inną i że być może idzie o uzyskanie łatwiejszej możliwości przejścia Wisły, która płynęła przed nosem, oddzielając Galicję czyli państwo austriackie od rosyjskiego.

Był to pierwszy rozkaz pisemny operacyjny, który od Austriaków otrzymałem, dlatego analizowałem go dokładnie, chcąc znaleźć w nim wytyczne punkty dla moich rozkazów. Nie chciałem bowiem pozwolić ani sobie, ani moim podwładnym na obniżenie naszej wartości, jako żołnierzy, gdy znaleźliśmy się w otoczeniu tzw. regularnego wojska, które, jak było mi wiadomo, patrzyło na nas ze wzruszeniem ramion. Rozkaz

był pisany po niemiecku, odbity na hektografie, ale zawierał ustęp, dopisany, jak widać, specjalnie na maszynie, niepodpisany przez nikogo, a zredagowany w języku polskim. Dopisek wskazywał na konieczność napięcia wszystkich sił, gdyż idzie o obronę «zagrożonej ojczyzny». Ten dopisek był wspaniały! Uśmiechałem się gorzko! Bardzo niedawno dowiedziałem się od ppłk. Breitschneidra, dowódcy odcinka w Szczucinie, że w Kielecczyźnie jest obawa jakichś knowań Rusinów, teraz inny komendant austriacki pisze wyraźnie dla mnie zachętę, bym bronił «ojczyzny». Więc Bolesław, Gręboszów, więc Kozłów i Uście Jezuickie to ojczyzna, a Nowy Korczyn za Wisłą, a Opatowiec, Szczytniki i Winiary, Chmielnik i Kielce, gdzie nam tak dobrze było, to było wszystko «Feindesland», było krajem wrogim. Dlatego, gdy chodziło o obronę Gręboszowa czy Kozłowa, dawano ostrogę mej pracy wojennej. Dziwny rozkaz, dziwny dopisek. Kręciłem papier w rękę długo, nim go nie rzuciłem na bok z niechęcią.

Miałem więc wybierać zarówno pomiędzy ofensywą i defensywą, jak i pomiędzy ojczyzną galicyjską a «Feindeslandem mit Ruthenen» <sup>1)</sup>, leżącym za Wisłą, krajem, z którego mi się nie chciało tak wychodzić, zem ociągał się z tym dnie całe. W tych warunkach zdecydowałem się łatwo na atak i na «Feindesland mit Ruthenen».

Nazajutrz rano byłem już w marszu do Kozłowa, który punkt rozkazu wskazywał mi jako kwaterę komendy mego odcinka. W Bolesławiu piechota zatrzymała się na odpoczynek, a ja po obiedzie w gościnnym dworze w Bolesławiu pospieszyłem za wysłaną naprzód jazdą, by obejrzeć swój odcinek. Wisła od ujścia Dunajca płynie w kierunku północno-wschodnim, a od Winiar skręca prosto na wschód, utrzymując ten kierunek aż do końca mego odcinka. Złą więc stroną obrony był ten zakręt rzeki. Jeszcze gorszą było to, że od ujścia Dunajca aż do Winiar brzeg przeciwległy panuje ogromnie nad znacznie niższym prawym brzegiem, którego miałem bronić. Zaczynając od Opatowca aż do Winiar, ze wzniesień lewego brzegu, można było przejrzeć najdrobniejsze szczegóły prawego brzegu i tylko gęste zadrzewienie niektórych wsi mogło dać jakie takie ukrycie. W razie poważniejszego zajęcia lewego brzegu ruch na moim brzegu mógłby się odbywać tylko nocą, a każdy pierwszy lepszy patrol z Winiar mógłby rozpatrzeć z łatwością cały rozkład obrony mego odcinka.

Rzeka również poważnej przeszkody nie stanowiła. Wisła w tym miejscu nie jest szeroka, a w czasie, gdym tam przybył,

<sup>1)</sup> Kraj nieprzyjacielski z Rusinami.

po suszy sierpniowej, stan wody był bardzo niski. Środki przewozowe stanowiły promy — bardzo zresztą prymitywne — w Opatowcu i Nowym Korczynie, oraz względnie niewielka ilość małych łodzi. Później odszukano jeszcze bliżej Bolesławia dwa stare promy. Wszystkie środki przewozowe ściągnięte były na nasz brzeg. Odcinek mój był właściwie głęboką dziurą, nad którą panował każdy, kto był w Winiarach i Opatowcu.

Bardzo pobieżnie oglądając okolicę, przybyłem za ulanami do Borusowej, leżącej naprzeciw Nowego Korczyna i ujścia Nidy, gdzie zameldowano mi, że nasi ulani przybyli tu właśnie w chwili, gdy straż skarbowa miała przez Wisłę strzelaninę z kozakami. Jeden z «financów» był ranny, a patrol naszych ułanów pod dowództwem Orlicza przepłynął się wpław przez Wisłę na tamten brzeg, skąd przysłać miał meldunek.

Więc Rosjanie są już w Nowym Korczynie! Zdecydowałem od razu, że przejdę na tamten brzeg. Nie tylko dlatego, że ciągnęło mnie do Królestwa, ale i dlatego, że chciałem możliwie długo utrzymać w swych rękach wysoki brzeg przeciwny, aby nie mieć stałych obserwatorów nieprzyjacielskich nad sobą. Przyznaję też, że jednym z motywów była chęć pokazania wszystkim, że dla nas, strzelców, przeszkód nie ma — a dodać trzeba, że nastrój całego otoczenia cywilnego i wojskowego w tym właśnie czasie, po porażkach lwowskich, był bardzo trwożny i skłonny do przesady w ocenie sił przeciwnika. Wyczuwałem to w Szczucinie, a teraz to samo widziałem wśród ludności mego odcinka. Śmiałem się na myśl, jak to zaimponuje, gdy będziemy po tamtej stronie. Zresztą akcja na lewym brzegu Wisły była przecież wynikiem otrzymanego rozkazu. Na razie postanowiłem wyczekać raportu Orlicza z tamtej strony. Sam system obrony nie mógł na razie być skomplikowany. Posłałem rozkaz, by postawić placówki i patrole na brzegu, a całe wojsko rozkwaterować po wsiach.

Wreszcie przyszedł raport Orlicza. Dzielny ten żołnierz przepłynął się z kilku ułanami wpław na brzeg nieprzyjacielski i zaatakował niespodzianie Moskali nad Nidą. Został lekko ranny i przysłał mi meldunek, że Nowy Korczyn jest słabo zajęty.

Zabawnym było to, że przepłynął się zupełnie nagi — tylko z karabinami i nabojami — i pozostał prawie do wieczora w adamowym stroju na tamtym brzegu. Przywieziono go dla złożenia mi meldunku, drżącego z zimna i otulonego w płaszcz dla opatrunku. Zabawnie wyglądał.

Też same nocy kazałem przepłynąć się II batalionowi, z Norwidem na czele, za Wisłę dla zajęcia Korczyna. Dwie kom-

panie z batalionu Wyrwy kazałem przerzucić do Opatowca, jako podstawę dla kawalerii — było jej niecały szwadron — której kazałem przejść Wisłę pod Opatowcem i zbadać okolicę: Winiar, Czarkowa aż po Wiślicę. Ruchy te odbyły się bez żadnych przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Nieliczne patrole kozackie opuściły Korczyn, jak się okazało, zaraz po potyczce z Orliczem, tak, że Norwid nie spotkał nikogo ani przy przeprawie, ani przy zajmowaniu miasteczka. Belina zaraportował, że w najbliższej okolicy nieprzyjaciela nie ma, że jest on jakoby w Wiślicy, dokąd pójda patrole. Na razie więc moja śmiałość opłaciła się — byłem z powrotem w Królestwie i podniosłem poczucie pewności siebie u moich żołnierzy. Zabawnym też było patrzeć na to, jak wzmógł się wtedy ogromnie nasz autorytet wśród ludności. Przejście Wisły uważano za czyn nadzwyczajnej odwagi i śmiałości strzelców.

Do pewnego stopnia był to czyn śmiały. Nie miałem za sobą mostów, a przeprawa na starych promach zajmowała bardzo dużo czasu. Niewątpliwie więc oddziały, przerzucone za Wisłę, byłyby eksponowane bardzo silnie w razie zjawienia się w ataku większej siły ze strony Rosjan. Przejazd przez Wisłę zajmował od 10—25 minut czasu i naraz można było przeprowadzić najwyżej 50 ludzi. Przeprawa więc słabego batalionu zajęłaby od 4—5 godzin czasu. W takich warunkach oddziały na lewym brzegu Wisły wisiałyby właściwie w powietrzu. Saperszy, którym poruczyłem opiekę nad przeprawą, wymyślali różne sposoby jej przyspieszenia, ale i sami nie byli jeszcze zbyt praktyczni pod tym względem, a zresztą, jak się to mówi, z próżnego i Salomon nie należy.

Przy tych saperskich pracach zginął przedwcześnie jeden z oficerów, który mógł mieć przed sobą przyszłość z powodu gruntownego przygotowania się do pracy wojskowej, Stanisław Krynicki, noszący pseudonim Tymkowicza. Biedak utonął w Wiśle pod Nowym Korczynem. Śmierć jego była dla mnie pierwszym ciężkim przejściem moralnym. Po raz pierwszy zabierała mi wojna jednego z bliskich mi ludzi, jednego z tych, których w swym otoczeniu, w naszej rodzinie strzeleckiej, przyzwyczaiło się widzieć stale. To nagle, nienaturalne zniknięcie młodego życia unaoczniało grozę wojny, a mnie dawało odczuć ciężar odpowiedzialności za to życie, z młodzińczą wiarą oddawane mi w ręce. Późniejsze wypadki, które spotykały moich bliskich, pomimo, że byłem do nich często bardziej przywiązany uczuciowo, nie robiły na mnie tak wstrząsającego wrażenia, jak ten pierwszy ubytek z najbliższego mi otoczenia strzeleckiego. Chyba jeszcze śmierć Wyrwy

w 1916 r. wstrząsnęła mną silniej, niż ten niespodziewany zgon Tymkowicza.

Ogromnym kłopotem w mej sytuacji było utrzymanie łączności z rozrzuconym oddziałem. Saperzy przyszli z niewielką ilością materiału telefonicznego, który starczył zaledwie na połączenie z Korczynem. Już z Opatowcem i ułanami trzeba było komunikować się najprymitywniejszymi środkami, tym uciążliwymi, że pomiędzy nami była Wisła i długa przez nią przeprawa promem. Była to fatalna strona całego mego położenia. Ten brak wyekwipowania technicznego robił z nas porozrzucane luźno oddziały, a nie jednolity organizm, i w najgorętszych chwilach utrudniał szalenie kierownictwo. O! telefon jest wielkim dobrodziejstwem wojennym; żeby go tylko nie nadużywano, bo wtedy staje się wprost przekleństwem. Niejedno dałoby się opowiedzieć o tej skrzeczącej zmurze. Gdy zaś trafi się «nerwowy» dowódca, wtedy stanowczo byłoby lepiej dla wojska, gdyby tego wynalazku nie zrobiono, bo staje się on w takich warunkach nie pomocą, lecz przeszkodą skutecznej pracy wojennej.

Lecz wobec tego, że do nerwowych dowódców nie należę, dbam o spokój i nerwy swych podwładnych, telefonu nigdy nie nadużywam. Doprawdy więc, jak krzywdę, odczuwałem teraz brak tego środka łączności, gdy pomiędzy sobą a swymi oddziałami miałem rzekę, wymagającą zawsze dłuższej przerwy w komunikacji. Nie pierwszy to raz od początku wojny odczułem w braku technicznego wyekwipowania coś w rodzaju upokorzenia i zazdrości. Ciągle widziałem dokoła bardzo i bardzo drugorzędne wojska w pełnym rynsztunku nowoczesnej techniki, bardzo często bez wielkiej korzyści dla sprawy toczony wojny. My zaś — niewątpliwie pierwszorzędny materiał wojenny, bo coby o nas kiedykolwiek kto mówił, zawsze jednak musiał to przyznać — cierpieliśmy na brak wszystkiego, absolutnie wszystkiego. Prawda, oni mieli za sobą swój rząd, my byliśmy sierotami wojennymi, które ta czy inna macocha najczęściej tylko pod włos gładziła. Łatwo tam komuś było wydawać rozkazy o «ofensywnej taktyce obrony Wisły» — które, zdaje się, na całej przestrzeni Wisły ja jeden tylko wykonałem — łatwo było robić dopiski o obronie «galicyjskiej» ojczyzny, ale gdy szło o ułatwienie wypełniania zadania — niestety — spotykaliśmy zawsze nie pomoc, lecz obojętność, a często i przeszkody. Bądźże tu śmiałym, człowiecze, i prowadź «defensywny atak»!

Długo rozpatrywałem mapę. Czytam mapy wojenne inaczej może, niż wojskowi. Czytam je jako wojskowy bardzo

szybko, chwytając prawie w jednej chwili najważniejsze szczegóły, na których opieram swój sąd o działaniach wojskowych. Lecz muszę zawsze domieszać do swego przemyślenia terenu różne rzeczy, które są całkiem obce wojnie. Tak więc i tutaj. Trafiłem na zabawny odcinek. Opowiadano mi, że w Winiarach był Kościuszko i że lubił siedzieć tam, oglądając widok przeciwnego brzegu Wisły. Jest jakoby we dworze w Czarkowej altana z kamiennym stołem, przechowywanym jako pamiątka po Naczelniku, który tam także bawił i przy tym stole siadywał. Wydaje mi się to legendą, gdyż nie umiem z danych historycznych, które posiadam, związać postaci Kościuszki z Winiarami czy Czarkową. (Zresztą pracy Kościuszki nie studiowałem dokładnie). A jednak jest przyjemnie myśleć o tym, że gdy zagrzmia tu strzeleckie strzały, Kościuszko-Naczelnik patrzy na nas z najwyższego punktu — z Winiar. Śmieszny drobiazg, a jednak miły!

Albo znowu te rzeki! Jestem u zbiegu trzech polskich rzek: Wisły, Dunajca i Nidy. Wszędzie stają w moim zadaniu na przeszkodzie, biegnąc zresztą z różnych stron. A jakie różne te rzeki! Wisła, jak Wisła. Wisielka o zwyczajnym prądzie. Dunajec rwie i pędzi z gór, wlatuje do Wisły, chcąc jakby złamać i zniszczyć jej szare życie, czyniąc je żywym i barwnym. Od północy sprzeciwia się temu leniwa, błotna druhna Wisły — Nida. I nazwy jakże odpowiednie! Wisła, jak Wisła; ucho bierze tę nazwę tak zwyczajnie, jak jakiś chleb powszedni dźwięku. Dunajec, rodzaju męskiego, jakaś prasłowiańska nazwa — Dunaj bezwiednie się przypomina. Nida najzabawniejsza! Nie mogłem nigdy się oprzeć chęci dodania do nazwy dźwięku g, wyjdzie wtedy Gnida. W miękkim łóżku, nie wśród puchów, lecz błot, płynie, jak gdyby się leniła nawet myśleć. Trzy rzeki polskie były mi więc przeszkodą dla ofensywnych planów, dzieląc w dodatku ojczyznę na dwoje, czynią z miłego Gręboszowa i Kozłowa jakoby ojczyznę, a z kościuszkowskich Winiar i Czarkowej, z Nowego Korczyna — gdzie także jakieś pakta historyczne pisano — «Feindesland, mit Ruthenen dazu» <sup>1)</sup>! Śmiałem się sam z siebie, tym bardziej, że serio myślałem o ataku.

Właśnie byłem zajęty bardzo i bardzo ofensywnym planem. Doszły do mnie wiadomości, że w Busku stoi sztab dywizji kawalerii. Nie wiem, czy słuszne były te dane, ale zdecydowałem w nocy uderzyć na Busk. Był to projekt bardzo śmiały, bardzo ofensywny, lecz, zdaniem moim, zupełnie wy-

<sup>1)</sup> Kraj nieprzyjacielski w dodatku z Rusinami.

konalny, gdyby... gdyby właśnie nie owe techniczne przeszkody, które na każdym kroku się piętrzyły. Dla przygotowania tego planu kazałem przerzucić do Nowego Korczyna jeszcze jeden batalion, czwarty, z poleceniem zajęcia najbliższych wsi na północ od Korczyna i zrobienia wywiadu w kierunku Buska. Belinie poleciłem dotrzeć do Wiślicy i zerwać tam most. W tym ostatnim zadaniu szło mi o ściągnięcie uwagi Buska w tamtą stronę i postawienie jakichś takich przeszkód nieprzyjacielowi na wypadek, gdyby chciał przejść przez Nidę i zająć mi skrzydło, a nawet tyły w czasie wyprawy na Busk. Operacja ta doprowadziła do krótkiego boju na północy od Korczyna.

Nieprzyjaciel ukazał się z prawego skrzydła. Szedł od Solca — od wschodu. Bój rozstrzygnął się wieczorem na naszą korzyść. III batalion — z początku jego prawa osłona — wytrwał przez pewien czas w ogniu karabinów maszynowych, potem, wyprowadziwszy rezerwy do boju, wyparł nieprzyjaciela z lasu i zmusił do cofnięcia się w kierunku Solca. Pod wieczór zaczęła strzelać artyleria nieprzyjacielska, również od wschodu. Działała ona nie w kierunku naszym; pociski swe posyłała w kierunku Bolesławia. Stało tam parę armat 7 dywizji kawalerii austriackiej i właśnie pomiędzy tymi dwoma oddziałami artylerii prowadzona była rozmowa. Przy końcu boju z daleka doleciał nas odgłos dwóch głuchych wybuchów — to Belina, wyparłszy kozaków z Wiślicy, niszczył most na Nidzie. Zaraz prawie potem zamilkły karabiny maszynowe w lesie na północy od Korczyna — nieprzyjaciel cofał się. Kto wie, czy wrażenie wybuchu — podobnym on był do odgłosu cięższej artylerii — nie przyczyniło się do urwania boju.

Gdy tylko rozległy się pierwsze strzały po tamtej stronie Wisły, pierwszą moją myślą było kazać osiodłać kasztankę i jechać do Korczyna, lecz wstrzymałem się, zostałem w Kozłowie i, korzystając z telefonu do Korczyna, mogłem być «au courant» tego, co się dzieje za Wisłą. Muszę przyznać, że wiele kosztowała mnie ta decyzja. Przekonałem jednak siebie, że tutaj, gdzie mam pod bokiem wszystkie swoje rezerwy i re-sursy, będę korzystniejszym dla wojska. Było mi jednak ciężko siedzieć z dala od bitwy i kierować się wrażeniami słuchowymi, nie oczyma. Znacznie szczęśliwsi byli dowódcy wojenni dawniej, gdy okiem ogarnąć mogli cały plac boju i widzieć bezpośrednio jego perypetie. Przypominam sobie przykrą chwilę, gdy zatrajkotały karabiny maszynowe. Wiedziałem, że my tej broni nie posiadamy, i jakieś złe myśli o przewadze technicz-